Mirosława CHUDA

MĄDROŚĆ SERCA

Każdy dorosły człowiek wcześniej czy później zaczyna myśleć o schyłkowym okresie życia, a myśleniu temu w mniejszym lub w większym stopniu towarzyszy lęk. Obawy związane ze starością chyba zawsze zawierają w sobie strach przed bezradnością, zależnością, nieużytecznością, bólem, a także swoisty strach przed strachem związanym z bliskością śmierci. I nie istnieje towarzystwo ubezpieczeniowe, które uwolniłoby swoich klientów od tego rodzaju obaw.

Lęk przed ostatnim etapem życia wynika często z uproszczonego obrazu ludzkiej egzystencji rozumianej jednostronnie jako vita activa. Taki ideał życia wymaga, aby nawet osoby w podeszłym wieku były czynne i użyteczne. Kiedy zaś utracą już bezpowrotnie zdolność skutecznego działania i nie będą przysparzać światu żadnych korzyści, staną się przedmiotem aktywności innych. Ludziom sędziwym, którzy mają za sobą pracowite życie, przysługuje prawo do opieki, pomocy i do gestów życzliwości ze strony młodszych. Jednakże starość widziana tylko w tej perspektywie jawi się jako upokarzający i bezsensowny schyłek człowieczego żywota.

Przygnębiającej wizji „niepotrzebnej" starości przeczy przecież samo życie. Mówi się często, że osoby w podeszłym wieku mogą służyć pomocą i radą, mogą swoim słowem i czynem przekazać młodym mądrość i doświadczenie. Ale ci, którzy w swej starości nie są już zdolni do praktycznego działania, a może nawet utracili zdolność posługiwania się słowami, także mają wiele do zaofiarowania innym. Trzeba jednak pewnej wrażliwości, aby pojąć i przyjąć ich dar. Dojrzałe, świadome obcowanie z ludźmi starymi jest źródłem przeżyć, które nadają głębię obrazowi ludzkiej egzystencji.

Najbardziej podstawowe wydaje się tu być przeżycie więzi rodzinnej. Stara, obłożnie chora matka czy zniedołężniały ojciec są już tylko – zdawać by się mogło – pasywnymi członkami rodziny. Ale to wokół ich fotela czy łóżka gromadzą się dzieci i wnuki, to dzięki nim doświadczają przynależności i wspólnoty, to wobec nich identyfikują się z rodziną i zarazem umacniają poczucie własnej tożsamości. Dzieje się tak nie tylko ze względu na pamięć przeszłości, wdzięczność i przywiązanie młodych. Ważniejsze jest realne, chociaż inne niż dawniej, uczestnictwo sędziwego ojca czy matki staruszki w życiu wspólnoty rodzinnej. Trudno pojąć twórczą moc tak cichego uczestnictwa. Często dopiero po śmierci rodziców staje się oczywiste, że właśnie ci starzy ludzie do końca byli duszą domowego ogniska. Kiedy odejdą, więzi między rodzeństwem, chociaż pozostają serdeczne, zmieniają charakter, a dom rodzinny staje się zwykle mieszkaniem spadkobierców.

Starzy ludzie budzą poczucie więzi nie tylko w stosunku do domu i rodziny. Dzięki seniorom także historia zyskuje twarz. Poprzez kontakt z uczestnikami dawno minionych wydarzeń możliwa staje się moja więź z przeszłością. I nie chodzi tu nawet o babcine opowieści, które czasem nużą (chociaż i one zasługują na uwagę), ale przede wszystkim o świadectwo. Wojna secesyjna, mimo że

żywo mnie interesuje, pozostaje książkową opowieścią, podczas gdy powstanie, które przeżył mój dziadek, jest – poniekąd dziedzicznie – częścią również mojego losu. Nie tylko „pieśń gminna" – także milcząca obecność sędziwego człowieka jest „arką przymierza między dawnymi a nowymi laty". Przestając z dziadkami (niekoniecznie z własnymi dziadkami) uświadamiam sobie, że nie zostałam wrzucona w świat na chybił trafił. Dostrzegam, że moje pojawienie się w tym miejscu i w tym czasie zostało poprzedzone i niejako przygotowane przez cały łańcuch istnień pośrednio ze mną związanych. Ekstrapolując to spostrzeżenie widzę i swoje miejsce w owym łańcuchu i mogę się spodziewać, że nie będzie ono bez znaczenia dla przyszłości. Tak oto kontakt z tymi, którzy schodzą już ze sceny zdarzeń, jest w jakiejś mikro-skali doświadczeniem ciągłości dziejów.

Doświadczeniu trwania towarzyszy jednak poczucie kruchości egzystencjalnej. Narodziny zawsze wydają się cudem, ale kierują całą uwagę na przyszłość i wzrost, przesłaniając niejako przygodność istnienia. Starość zaś, przez bliskość nieuchronnego kresu, uprzytomnia mi fenomen życia w opozycji do śmierci. W sposób szczególny uświadamiają sobie tę fundamentalną różnicę ci, którzy czuwają przy łóżkach dogasających bliskich. „Niechby było, jak jest, byle tylko żył" – to słowa, które wielokrotnie słyszałam z ust osób, których schorowani rodzice czy małżonkowie pozostawali w stanie określanym jako beznadziejny. Całkowicie niedołężny starzec, niemal pozbawiony kontaktu z otoczeniem, dla postronnego obserwatora nie znaczy wiele więcej niż martwy; budzi współczucie, strach, a czasami przekonanie, że „dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby skonał". Ale bliski, osobowy kontakt z owym starym człowiekiem pozwala właśnie w ledwo tlącym się płomyku życia dostrzec całą jego wartość.

Jest i inna wartość, która odsłania się w tego rodzaju doświadczeniu. Kiedy poznaję na przykład pensjonariusza domu starców cierpiącego na chorobę Alzheimera, nie wiem, kim był, co zrobił dobrego lub złego, jakie poglądy wyznawał. Nie przemówi już do mnie jego wdzięk ani inteligencja. Wiek i choroba pozbawiły go wszystkiego, co wcześniej osiągnął – nie tylko dóbr materialnych, ale i wielu wartości duchowych. Wobec takiego ogołocenia uzewnętrznia się to, co nieutracalne: przyrodzona godność osoby. Dzięki niej stary człowiek, którego życie wydaje się sprowadzać do czynności biologicznych, nadal pozostaje „niewiele mniejszym od aniołów". Pomimo wszelkich ograniczeń posiada niejawny dla nas potencjał duchowy wystarczający do spełnienia najdonioślejszego dla człowieka zadania: przejścia przez śmierć. Dostrzeżenie tej prawdy jest ważną próbą dla mojej wrażliwości moralnej.

Znakiem przechodzenia starych ludzi do rzeczywistości eschatologicznej jest zwykle cierpienie. Stanowi ono istotną przyczynę lęku przed starością, pozostaje bowiem tajemnicą. Cierpienie odchodzących, to które nie rokuje już poprawy, ma znaczenie szczególne. Nie można już od niego uciec w sferę pozornych nadziei, „światowych" przyjemności i powszednich pocieszeń. Starzec u kresu ziemskiej egzystencji musi zmierzyć się z tym bólem, który najwierniej odzwierciedla mękę krzyżową Chrystusa. Ludzie u schyłku życia sięgają samej głębi sensu cierpienia. Stają niejako na progu tajemnicy i uchylają zasłonę. Dlatego mogą, nawet bez słów, pomóc młodszym w przezwyciężaniu strachu przed bólem i w zrozumieniu jego ostatecznego znaczenia.

Człowiek w podeszłym wieku odnosi się z dystansem do spraw, które niegdyś silnie go poruszały, a zaczyna cenić wartości, które za młodu zaledwie dostrzegał. Zmieniają się proporcje w jego wizji rzeczywistości. Pozbawiony – na skutek chorób i naturalnego procesu destrukcji organizmu – wielu sprawności ciała i umysłu, prawdziwie zasługuje na miano „ubogiego duchem". Nietrudno zauważyć, że coraz mniej należy do tego świata i coraz szybciej zmierza w stronę Królestwa. Wysoka pozycja starców w dawnych kulturach wiązała się nie tyle nawet z ich wiedzą i doświadczeniem, ile z przekonaniem, że są oni bliżej rzeczywistości niewidzialnej i mocy większych niż ludzkie. (Niejako potwierdzeniem tego przekonania są ewangeliczne postaci Symeona i Anny – powołanych, by rozpoznać Mesjasza.) I to jest może najcenniejsza lekcja, jakiej człowiek „syty dni swoich" udziela młodym, zabieganym wokół rzeczy świata tego – lekcja kontemplacji, doświadczania prawdy w jej najprostszych i najgłębszych wymiarach.

„Naucz nas liczyć dni nasze, abyśmy osiągnęli mądrość serca" - prosi psalmista (Ps 90, 12). Mądrość serca jest czymś więcej niż tylko sumą doświadczeń życiowych czy ukoronowaniem dokonań intelektualnych. Tę właśnie mądrość posiadają ludzie starzy. To oni, w swym ubóstwie, ukazują wartości, których „ani mól, ani rdza nie niszczy" (Mt 6, 20), i uczą patrzenia na świat sub specie aeternitatis.